

Michał Mizera o Festiwalu Lamentacje

Visitatio sepulchri, czyli nawiedzenie grobu

*There are more things in Heaven and Earth,
Than are dreamt of in your philosophy*

Shakespeare

„Przywróć nam Dziady!” – krzyczy Gustaw do Księdza w IV części narodowego arcydramatu. Niedokończonego, jak większość naszych dramatów, na szczęście a może na nieszczęście niestety. Niedokończonego, bo wiecznie zajęty Autor po powstaniu listopadowym na emigracji w Paryżu począł czynić poezję, czynić poezją, zarzucając jej pisanie. Tłumaczył nam to 31 października ubiegłego roku na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego w Warszawie Krzysztof Rutkowski, natchniony śledczy mickiewiczowskich śladów i tropów. Andrzej Seweryn, odczytujący wtedy nowy przekład słynnej *Lekcji XVI*, świętego tekstu polskiego teatru, zakończył ten pełen guślarstwa obrzęd świętokradczy zgaszeniem gromnicy i złowieszczym „Do zobaczenia na Lamentacjach!”.

Stało się! Lamentacje stają się ciałem i wypełnią swym drżeniem ostatni tydzień Wielkiego Postu aż do pierwszego dnia Triduum Paschalnego. Otworzy je ważny i symboliczny gest, jakim wykonawcy zakopiańskiego *Performansu* według prozy Fiodora Dostojewskiego witają widzów. Ostatnią Wieczerzą Lamentacji będzie wileńska *Czarodziejska góra* według powieści Tomasza Manna, którą zakończy gest Joachima Ziemssena z zaświatów, a będzie to gest niemożliwego (uważny widz z pewnością dojrzy wcześniej charakterystyczny obraz wiszący w pokoju Mynheera Peeperkorna). Po nim zapadnie kurtyna. Nastanie Wielki Piątek. Lamentacje będą trwać nadal, choć już w innym wymiarze. *Stabat Mater Dolorosa*...

„Witaj flaszeczko z niezwykłym likworem, z wielki szacunkiem cię do ręki biorę” – mówi (w przekładzie Jacka Stanisława Burasa) Faust, tytułowy bohater arcydramatu Johanna Wolfganga Goethego, i już, już ma wypić truciznę, zdruzgotany niemożnością poznania, którego potrzeby nie zaspokoiły ani filozofia, ani teologia, ani prawo, ani medycyna. Ale kiedy zbliża fiolkę do ust, nagle zaczynają bić wielkanocne dzwony i słychać rezurekcyjną pieśń. *Faust* Goethego zaczyna się w noc otchłanną z Wielkiej Soboty na Wielką Niedzielę, a od śmierci samobójczej ratuje doktora Fausta wielkanocna pieśń Zmartwychwstania. Ratuje aż do podpisania cyrografu, ale przecież ratuje. W ostatecznym rozrachunku – ratuje.

Pomiędzy krajem Dostojewskiego a ojczyzną Goethego i Manna leży wielokrotnie wskrzeszane niczym Piotrowin państwo, którego językiem urzędowym równie wielką łaskawością losu pozostaje polszczyzna. To ona, Mowa, jest głównym bohaterem Lamentacji. Lamentujemy po polsku i w sprawie polskiej. Nic dziwnego, że wiecznie zajęty Autor patronuje tym działaniom. To jego cmentarny obrzęd zaciążył nad polską kulturą, mentalnością i tożsamością. Gadamy z umarłymi. Umarłych pytamy o radę i przestrogę. Naprzód z umarłymi gotowiśmy iść. Stanisław Wyspiański w swoim *Wyzwoleniu* doskonale zrozumiał ten nekromantyczny rytuał, każąc zbuntować się Konradowi wobec Geniusza, bohaterowi Polaków pokonać swego Autora, wtrącić go do wawelskich krypt a wejście do nich zaryglować zgaszoną pochodnią. Słowem: kazał synowi dokonać aktu ojcobójstwa. Nic dziwnego, że w końcu dopadły go Erynie. Erynie, które nie staną się Łaskawe...

By wziąć udział w tych zapasach z upiorami, wybierzemy się do Gdańska specjalnym festiwalowym pociągami do miejsca, z którego wyprorokowany przez Wyspiańskiego wyrobnik odmienił polskie losy nie poprzez śmierć i ofiarę. Wcześniej odrobiliśmy lekcję Witkacego, który *W małym dworku* pokazał, że dla ozdrowienia trzeba wygnać z domu duchy bliskich zmarłych. Trzeba zanegować rytuał dziadów. Trzeba wyjść z zakłętego kręgu obcowania z duchami. Trzeba żyć! Jakże okrutnie i dojmująco to brzmi wobec współczesnej tragedii i śmierci Prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza i Zwykłego, Szarego Człowieka Piotra Szczęsnego, których pamięci dedykujemy nasz wyjazd spod Pałacu Kultury i Nauki na Targ Węglowy.

Mesjanizm, oryginalna odmiana polskiej chrystologii, stał się nie tylko szkolnym wytrychem do romantyzmu, stał się realnie sączącym się spod ziemi wyziewem, zaczadzającym umysły i serca wielu pokoleń Polaków. Traumą z powodu bezpowrotnie dla ich pokolenia utraconej ojczyzny (ale nie Mowy!) Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński próbowali przekuć w duchową wartość w tajemnych spotkaniach z mistrzem Andrzejem Towiańskim organizowanych na paryskich strychach, gdzie zbierało się Koło Sprawy Bożej. To chyba dobrze o nas świadczy, że dziś umiemy się z nich trochę pośmiać i zobaczyć ich w krzywym zwierciadle. Może właśnie dzięki Witkacemu? Może właśnie dzięki Gombrowiczowi, który w *Ślubie* dał przejmujący obraz tego, czym kończy się powoływanie przez człowieka kościoła ludzko-ludzkiego?

„Ojcze, jeśli chcesz, zabierz ode Mnie ten kielich. Wszakże nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie!” – tak układał swoją Wielką Improwizację w ogrodzie Getsemani Mistrz z Nazaretu. Nie krzyczał Bogu, że nie jest ojcem, tylko tyranem. Satrapą. Carem! Jezus pokornie układał swoją pieśń Samotnika. Słuchał tej Improwizacji także ten, który wiecznie zła pragnąc, wieczne czyni dobro. Zwodziciel, *trickster*, krętacz, deprawator! Właśnie pod – złowieszczym! – tytułem *Deprawator* Gombrowicz pojawi się na Lamentacjach w spotkaniu ze swoim wielkim interlokutorem, spadkobiercą wielkich Wilniuków, Filomatów i Filaretów, czyli Czesławem Miłoszem (w tle przygląda im się mocno zdegrustowany Zbigniew Herbert), którzy na emigracji plotkują, piją i tańczą, ale też uprawiają swój narodowy, samopompujący się teatr samouwielbienia.

Mickiewicz, sam emigrant, kiedy pisał III część *Dziadów* (udało mu się z tej części zakończyć ledwie prolog i akt pierwszy), zadedykował ją zmarłym kolegom, „świętej pamięci Janowi Sobolewskiemu, Cyprianowi Daszkiewiczowi, Feliksowi Kółakowskiemu, spółuczniom, spółwięźniom, spółwygnańcom, za miłość ku ojczyźnie prześladowanym, z tęsknoty ku ojczyźnie zmarłym, w Archangielsku, na Moskwie, w Petersburgu — narodowej sprawy męczennikom”. *Dziady* te w zeszłym roku po raz pierwszy zaistniały w języku gruzińskim w teatrze o nazwie – nomen omen – *Liberty*, faktycznie położonym obok słynnego na cały świat Placu Wolności w Tbilisi, z którego obrazki tak często oglądamy w mediach. *Dziady* boleśnie się aktualizują, nie tylko w Gruzji.

Z Kolchidy, a więc z Gruzji, pochodziła Medea, której córki i wnuczki próbują uciec z ojczyzn ogarniętych wojną do lepszych krain. Współczesne Medee, które stają się genetowskimi pokojówkami, mogą powiedzieć słowami wiersza Jeana-Pierre’a Siméona „wściekła jestem, wściekła matka, wściekła córka, wściekła siostra”. To *Stabat Mater Furiosa*... Lamentacje rozbrzmiewają w czasie szczególnym. Trwa wojna w Ukrainie wywołana rosyjską agresją w imię znanych nam dobrze, nie tylko z *Dziadów*,

imperialistycznych ciągot spadkobierców Aleksandra i Mikołaja Pawłowiczów. Uczeń krzemienieckiego liceum i wileńskiego uniwersytetu sportretował w swoim wizyjnym dramacie *Sen srebrny Salomei* cały ten kulturowy tygiel polsko-kozacko-rosyjski (i jeszcze żydowski) w czasie konfederacji barskiej, której dziedzictwo tak silnie zaciążyło nad polskim romantyzmem. Wiele niepożegnanych i niewysłuchanych ukraińskich oraz polskich duchów krąży nad pobojowiskami, grobami, cmentarzami i pogorzeliskami. Smutno nam też, że na Lamentacjach w legnickim przedstawieniu nie zobaczymy już świętej pamięci Bogdana Grzeszczaka, wybitnego aktora, legendę nie tylko legnickiej sceny, ale i Warszawskich Spotkań Teatralnych.

Wszyscy ci autorzy, wszyscy ci bohaterowie, wszystkie te zjawy i duchy spotkają się na Lamentacjach w Teatrze Polskim im. Arnolda Szyfmana. Zaprawdę, „są dziwy w niebie i na ziemi...”. Ale dajmy już spokój tym pseudoerudycyjnym wykrętom. Twórcy i trenerzy, demiurdzi i demiurżki sztucznej inteligencji jasno mówią, że wśród dobrodziejstw nowego narzędzia jest i taka konsekwencja: sztuczna inteligencja oduczy nas czytać. Pytanie, czy zdąży, zanim w pojedynku Settembriniego z Naphtą ten pierwszy strzeli w powietrze, by nie zranić przeciwnika. Ten drugi, z tego samego powodu, strzeli do siebie. Na Lamentacje zapraszamy tych, którzy – zmuszeni – w ostateczności będą strzelać w powietrze lub do siebie samych. Pozostali, nie miejmy złudzeń, będą strzelać do nas bez mrugnięcia okiem i zawahania.

Nasz festiwal nie jest świętem klasyki. Nie jest manifestacją teatru opartego na słowie. Nie jest spotkaniem mistrzów i adeptów. To stypa po świecie, w którym wierzyliśmy, że literatura, czyli moc słów, czyni nas szlachetniejszymi i mądrzejszymi. Lamentacje to podzwonne dla tej utopii. Zanim wejdziemy do Szeolu, pożegnajmy się więc z Goethem i Mannem, z Mannem i Dostojewskim, pożegnajmy ze Słowackim, Wyspiańskim, Witkacym, Gombrowiczem, Miłoszem i Herbertem.

Nie żegnamy się tylko z Mickiewiczem. „Zabierz nam Dziady!” – chciałoby się zakrzyknąć. Gromnica zgasła. A ten już spod ziemi wygląda i znowu jak upiór powstaje. I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda!

Alleluja!